

Manca G. Renko

Živalsko mesto [Miasto zwierząt]
(fragmenty)

przekład: Miłosz Biedrzycki

[...]

Kiedy wychodzę do miasta i wypijam dwa szprycery, głosy zwierząt zaczynają cichnąć, a im więcej wypijam, tym ciszej się robi, aż osiągam moment całkowitego spokoju. Podobno niektórzy ludzie tak się czują zawsze, ale ja niestety nie jestem tymi ludźmi i w mojej głowie nie zapada cisza. Z każdym kieliszkiem zwierzęta coraz bardziej wycofują się do swoich łóżek i po kolei zasypiają, a mój mózg całkowicie się uspokaja. Nie wiem zbyt wiele o swojej rodzinie, ale wiem, że rodzina mojego dziadka Josipa, która do Lublany przybyła z Szybeniku, miała knajpę, a w niej kanarka, który z upodobaniem mówił: „Koki Grgić, ulica Celovška 65, jeszcze jedno wino poproszę!”. Koki od dawna był dla mnie bardziej interesujący niż pozostali przodkowie i być może „jeszcze jedno wino poproszę” odziedziczyłam właśnie po nim. Jeszcze jedno wino w stronę spokoju. Jeśli mam szczęście, skacowane miasto zwierząt dłużej śpi, co oznacza, że przebijam się przez ranek z zawrotami głowy, ale bez zwierzęcego harmidru. W ostatnich latach jednak rzadko mam szczęście i miasto zwierząt po kilku kieliszkach wina i po kilku godzinach się budzi, włącza syreny, szaleje, trzaska drzwiami i do tego jeszcze śpiewa („Cała ulica się bawi, bawi się, nie dzwońcie po policję, nie dzwońcie, o nie” – ktoś mógłby powiedzieć, że Dare Kaurič sprzeniewierzył się swojej pierwotnej karierze punkowca, kiedy zamienił zespół Kuzle na Kingstonów; chyba że prawdziwym dziedzictwem punka jest właśnie nieufność w stosunku do policji, która przechodzi z rodziców na dzieci, z pokolenia na pokolenie). Kiedy miasto zwierząt się bawi – bawi się! – ja dostaję napadów lęku, co czasem oznacza, że przez mózg przemykają mi wciąż te same trzy myśli, których nie potrafię uciszyć, całe moje ciało jest napięte i nie mogę rozluźnić w nim ani jednego miejsca, albo że żołądek i klatka piersiowa wypełniają mi się nieznośnym ciężarem, który w żaden sposób nie chce ustąpić. Taki stan może trwać od godziny, jeśli mam szczęście, do dziesięciu godzin, jeżeli go nie mam. Ostatnio naprawdę ciężko zniosłam obchody osiemnastej rocznicy matury, kiedy to spędziłam sześć godzin z trzydziestką byłych kolegów i koleżanek z klasy, przepełniona jednocześnie wzniosłością i zgrozą. Później przez całą noc przetaczały mi się przez głowę zdania i strzępy rozmów wysłuchanych tamtego wieczoru: „Co to jest ZRC SAZU? Czym ty się właściwie zajmujesz? Mój też nie chciał ślubu, ale potem mieliśmy taką imprezę, że stwierdził, że zrobiłby to wcześniej, gdyby wiedział, że będzie tak fajnie. Zaraz jak się zbudzę, wysyłam SMS-a do mamy, żeby przyszła po dzieciaki i je ogarnęła. Tak, teraz mieszkamy w mansardzie i to jest świetne, bo inaczej w ogóle nie da się utrzymać dzieci w ryzach. Jesteśmy z moim razem od siedemnastu lat. Moi rodzice zabierają dzieci moje i brata nad morze i wracają kompletnie wypruci. Teraz wszystkie seriale są łołk, tego się w ogóle nie da oglądać. Nie robią już takich seriali jak *Friends*. *Stranger Things* było fajne, ale wszystko spieprzyli, jak wsadzili tam te

lesbijki. Mogę czytać Tolstoja, wszystko inne wydaje mi się banalne. Nie interesuje mnie jakieś filozofowanie o macierzyństwie. W końcu mi się oświadczył, nie będziemy mieli klasycznej ceremonii, to będzie bardziej balanga. Znam jednego weganina, co jest strasznie gruby, my jedliśmy naleśniki, a on czipsy. Można się w ogóle najeść bez mięsa? Ja muszę zjeść mięso, żeby przestać czuć głód. Nasze dzieci to ukoronowanie naszej miłości. Dopiero jak spotkasz właściwego mężczyznę, możesz mieć z nim dzieci, wszystko zależy od tego, czy spotkasz tego właściwego. On nie jest wierzący w taki klasyczny sposób, w stylu szkoły niedzielnej. Nie, teraz w ogóle nie śpimy, bo ząbkujemy. Jak dziecko kończy cztery lata, dostajesz swoje życie z powrotem, szczerze, nie wiem, co mam teraz ze sobą robić, może potrzebuję nowego hobby. Ileście dali za pozwolenie na budowę? Sorka, nie możesz tu siedzieć, te dwa stoliki są zarezerwowane...”

Wszystkie te zdania, uproszczona ideologia pod przykrywką sentymentalizmu, odruchowy szowinizm, ignorancja czająca się pychą intelektualną, wciąż te same role, jakby życie było klasą licealną – moim najgorszym koszmarem – przyczepiły mi się do głowy i w półśnie dręczyły bardziej niż kiedykolwiek na jawie.

Myślę, że najpóźniej w liceum wypracowałam sobie system obronny, dystans, za pomocą którego swoje wnętrze umyślnie oddzieliłam od siebie jako performance’u. W ten sposób mogłam odgrywać taki wariant siebie, który chronił mnie przed wszelkimi przykrościami; te były wycelowane w moją publiczną personę, a nie we mnie. Persona była tak przydatna, że z biegiem czasu zrosła się ze mną; cokolwiek się przez nią przedarło, można było łatwo stłumić i wrócić do świata – albo wręcz go zawojować. Pozostawały jednak osady po stłumionym i z biegiem lat było ich już tyle, że stały się doskonałą miejscem tańców miasta zwierząt, w którym dopiero po czasie rozpoznałam odbicie nagromadzonych lęków. Kiedy miasta zwierząt nie dało się uciszyć ani odurzeniem, ani zapomnieniem, nie pozostało mi nic innego, jak spróbować pozbawić go gruntu pod nogami i zacząć kopać.

Nie wierzę, że pisanie w istotny sposób pomaga nam w poznawaniu samych siebie – dlatego że podczas pisania odsłaniamy się w takim samym stopniu, w jakim się zakrywamy; pisanie jest drogą do zarówno do dekonstrukcji, jak i konstrukcji własnej postaci (literackiej). Dlatego w starych zapiskach, na przykład z okresu dojrzewania, prawda często kryje się w nieoczekiwanych miejscach i w mimowolnych obserwacjach, podczas gdy części tekstu, które sprawiają wrażenie najbardziej szczerych, mogą być czystym odgrywaniem roli. Jeśli lata czytania i pisania w ogóle czegoś mnie nauczyły, to tego, że pisanie jest kolejnym ze sposobów umożliwiających nam okłamywanie samych siebie w sprawie tego, kim jesteśmy; tymczasem zaś wierzymy, że zapisujemy efekty bezkompromisowej szczerości. Zaczęłam pisać *Miasto zwierząt* nie po to, żeby coś szczerze powiedzieć o sobie albo o innych, ale dlatego, że pisanie jest jednym z nielicznych ćwiczeń, dzięki którym przez długi czas mogę skupić się na jednej myśli i uciszyć wrzawę w swojej głowie – a i to w nieustannych zmaganiach z dygresjami. Nie oczekuję jakiegos zbawienia, nawet nie rozwiązania wewnętrznych konfliktów, mam natomiast nadzieję, że przynajmniej część z tego, co piszę, znajdzie przestrzeń do życia jeszcze gdzieś indziej niż w mojej głowie; i że w cudzych głowach będzie mniej inwazyjne niż w mojej. Pisanie nie jest terapią; pisanie jest treningiem.

W mieście zwierząt miesza się na wpół wyartykułowane myśli innych ludzi, często – zbyt przemyślane idee, nieprzetworzone emocje, kluczowe refleksje o życiu, kultura popularna, poglądy polityczne, historia, wysoka sztuka i niskie popędy. Czasem mówię sobie,

i to zupełnie na poważnie, „jak dobrze, że mam tak bogate życie wewnętrzne”. W innych momentach mam wrażenie, że oddałabym wszystko za minutę ciszy. Ta książka jest poszukiwaniem równowagi między głosami a ciszą, stanowi próbę dyrygowania głosami miasta zwierząt. Jak śpiewał Dare Kauriç w swojej piosence o szalonej nocy: „Jest jak wzburzone morze, nie sądzisz?”

[...]

„To, co dzieje się między kobietami – napisała Chris Kraus w książce *I Love Dick* – to najciekawsza rzecz na świecie, bo najmniej opisana”. Nie mam pewności, czy faktycznie najmniej opisana, jest to natomiast coś, co jako społeczeństwo najmniej chętnie dostrzegamy, umieszczamy w historii i w kanonie. Dominujący dyskurs na temat „kobiecej przyjaźni” zaczął się wprawdzie kształtować dopiero w ostatnim dziesięcioleciu, z przeszłości daje się jednak wywnioskować, że przyjaźń między kobietami była dla wielu twórczyń (na temat innych kobiet nie zachowały się niemal żadne źródła) kluczowa w zdobywaniu pozycji, jak również dla samego przeżycia. Te przyjaźnie przetrwały przeprowadzki, upadki imperiów, zmiany granic państwowych i orientacji ideologicznych: możemy to obserwować w przypadku Ivany Kobilcy i Käthe Kollwitz albo Zofki Kveder i Marthy Tausk. Wyraziste przedstawienia przyjaźni znajdujemy w klasyce literatury z okresu Republiki Weimarskiej, na przykład w powieściach Irmgard Keun, gdzie często są to jedyne stabilne i bezpieczne relacje dla młodych kobiet w wielkim mieście (czy podobnie nie uważają bohaterki serialu *Girls*?). Nowoczesne dziewczyny potrzebowały przyjaciółek: po zakończeniu edukacji podejmowały pracę biurową w mieście – wystarczająco samowystarczalne, żeby nie musieć wychodzić za mąż, zbyt bezbronne, żeby w światłach wielkich miast spacerować w pojedynkę. Przyjaciółki, alkohol i muzyka popularna to podstawy nowoczesnej przyjaźni między kobietami, jaką możemy prześledzić w wielkomięjskiej literaturze lat dwudziestych i trzydziestych. Kobiece przyjaźnie na całe życie istniały już wcześniej, ale dopiero wielkie miasta po pierwszej wojnie światowej stanowiły scenerię, w której mogły się zapisać w kulturze (również tej popularnej); nawet jeśli zdawały się przemijającym zjawiskiem, albo – jak określił je Siegfried Kracauer – „kometami”, o których nawet najlepszy astronom nie jest w stanie powiedzieć, czy skończą „na ulicy czy w małżeńskim łóżu”. Również w dwudziestym pierwszym wieku kobietom zdarza się znikać jak „komety”: i cykl neapolitański Eleny Ferrante, i *Girls* Leny Dunham kończą się rozpadem przyjaźni; podczas gdy w *Girls* przynajmniej dochodzi do pożegnalnej konfrontacji, Ferrante końcowym gestem relacji trwającej pół stulecia czyni *ghosting*. Kobiety, przyjaciółki, po prostu znikają, czasem dlatego że już sobie nie życzą naszego towarzystwa, a czasem dlatego że, jak mówi Ferrante, „znikają z powierzchni Ziemi z powodu choroby – bo układ nerwowy nie wytrzymał papieru ściernego zgryzot – bo przelano ich krew”.

*

Jedna z najwznioślejszych scen, jakich doświadczyłam, miała miejsce pewnej nocy w Londynie, akurat o takiej godzinie, kiedy alkohol wydobywa z ludzi to, co najlepsze. Już z daleka usłyszałam znajomą melodię, a kiedy podeszłam do pubu na końcu ulicy, zobaczyłam,

że jest pełen młodych ludzi, którzy stoją na stołach i krzesłach, obejmują się ramionami i śpiewają piosenkę *Angels* Robbiego Williamsa. Był to moment absolutnej harmonii, dążącej do punktu kulminacyjnego – „*and through it all she offers me protection, a lot of love and affection whether I'm right or wrong*” – a kiedy już doszło do kulminacji – „*I'm loving angels instead*” – miało się wrażenie całkowitego rozładowania, po którym wymieniano zdezorientowane spojrzenia i tłumnie wychodzono z lokalu przed drzwi, gdzie rozpały się papierosy jak po orgazmie z osobą, której jeszcze nie znamy wystarczająco dobrze i dlatego w chwili odczarowania trzeba dla odwrócenia uwagi zająć się czymś zupełnie innym. Kiedy później oglądałam niezbyt dobry film dokumentalny o Robbie Williamsie, zawierający sceny z liczącymi dziesiątki tysięcy osób tłumami śpiewającymi w uniesieniu tę samą piosenkę, uświadomiłam sobie, że wspólne przeżywanie muzyki pop, uczestniczenie w jej rytuale, jest czymś najbliższym współczesnemu przeżyciu religijnemu. *Angels* to doskonale metafizyczny utwór o zbawieniu, nadziei i miłości, którego wysłuchaliśmy tyle razy, że bardziej niż z piosenką kojarzy się z zaklęciem albo, jak kto woli, z modlitwą. Nie musieliśmy się go uczyć, żeby znać go na pamięć; wydaje się, że – podobnie jak nasze największe miłości, przyjaźnie i lęki – żyje w nas od bardzo dawna, tak jakby nas znał, zanim my mogliśmy poznać siebie. Czy też, jak Siegfried Kracauer napisał sto lat temu o typowej dziewczynie w wielkim mieście, która chodziła z przyjaciółką na potańcówki: „to nie ona zna każdą piosenkę, to piosenki znają ją, chwytają i czule mordują”. Kiedy na rondzie Tomačevo schwytała mnie piosenka *Habits*, nie tylko wiedziała o mnie więcej niż ja o niej; wiedziała o mnie więcej, niż sama wiedziałam wtedy o sobie.

[...]

Równie istotne jest to, że przez większą część dziejów kategorii „geniuszek” czy „intelektualistek” w ogóle nie istniały, bo w społeczeństwie nie wykształcił się konsensus co do tego, w jaki sposób kobiety mogłyby nimi zostać. Istnienie „geniusza” bądź „intelektualisty” zaczyna się wraz z jego pojawieniem się w przestrzeni publicznej; ta zaś była dla kobiet trudniej dostępna niż dla mężczyzn. Już samo słowo „geniuszka” wymawia się znacznie mniej gładko niż „geniusz”, również skojarzenia i konteksty są nieco odmienne dla żeńskiej i dla męskiej formy. Fakt, że przy rozważaniu większości zagadnień dotyczących kobiecej pracy umysłowej czy twórczej prawdopodobnie jako pierwsza przychodzi nam na myśl Virginia Woolf, jest spowodowany nie tylko jej wyjątkowością, ale również jej systematycznym namysłem nad tym, co oznacza stworzenie wielkiego dzieła literackiego i stanie się wielką bez nadmiernego podporządkowania się oczekiwaniom społecznym wobec kobiet. *Własny pokój* jest nie tylko drobiazgowym studium ograniczonych możliwości, jakimi dysponują kobiety, żeby zdobyć pozycję w zawodach twórczych czy intelektualnych, stanowi również ostrzeżenie przed przeszkodami, z którymi muszą mierzyć się kobiety w drodze do sukcesu. Tak czy inaczej – to, co było prawdą w przypadku Virginii Woolf, jest również prawdą w przypadku każdej z nas: dobrze jest mieć pieniądze; dobrze jest mieć męża albo żonę, którzy będą się troszczyć o nas i o naszą twórczość zarówno za życia, jak i później. Zmaganie się z poczuciem winy wskutek tego, że na pierwszym miejscu stawiamy siebie i swoją twórczość, nigdy się nie kończy, ponieważ zbyt długo wierzyliśmy, że cnoty kobiece mierzy się wyrzeczeniami; a jedną z kluczowych ról odegrała przy tym właśnie literatura

należąca do kanonu. (A wy, ile kilometrów przebiegłyście dziś za wozem, niczym udręczona bohaterka kanonicznie słoweńskiej powieści Ivana Cankara?)